



Tadeusz Stankiewicz

część II z III

Sygnatura notacji: **N1244**
Data urodzenia: **7.08.1930 r.**
Data nagrania: **10.04.2018 r.**
Miejsce nagrania: **Centrala IPN, Warszawa, Polska**
Prowadząca/y rozmowę: **Tomasz Sikorski**
Czas nagrania: **część I: 60 min, część II: 67 min, część III: 36 min**
Format nagrania: **video**
Język nagrania: **polski**



TRANSKRYPCJA



INSTYTUT
PAMIĘCI
NARODOWEJ

[00:00:00 POCZĄTEK NAGRANIA]

Tadeusz Stankiewicz: Ja już bez ojca kończyłem gimnazjum dzięki wspaniałemu człowiekowi, dyrektorowi, bo nie mieliśmy, nie było pensji, nie było gospodarstwa, trzeba się było jakoś utrzymać. Matce odmawiano zaopatrzenia emerytalnego, gdzieś tam w papierach było zapisane: „Nielojalni wobec rzeczywistości”. To trzeba było się uczyć jeszcze. Zaczęliśmy robić, uratowaliśmy jeszcze z tego gospodarstwa taki sprzęt do omłotów, bo mieliśmy swój. Więc ja tam na tej wsi w Nurze, ponieważ obsługiwałem, umiałem ten sprzęt obsługiwać, potrzeby były bardzo duże. Bo młodzi rolnicy byli powoływani do wojska. Przecież utrzymywaliśmy wielką armię. I te kobiety same borykały się z tym gospodarstwem. Była jeszcze... do zakładania tych kołchozów potrzebny był nacisk z drugiej strony, a tu były duże potrzeby powiedzmy, żeby uprawiać tę rolę i coś, żeby była ta żywność. I zacząłem, po prostu ten sprzęt uruchomiłem i zacząłem młócić. Powodzenie miałem straszne. Ludzie nie mieli pieniędzy, ale płacili zbożem. Jakaś tam stawka była za godzinę, płacili zbożem i zabezpieczyłem na jakiś czas rodzinę. Mama, ponieważ była zorganizowana przecież w konspiracji i moja siostra, jako ta służba sanitarna kobiet i była sama apteka, robienie leków ziołowych. W każdym razie u miejscowego lekarza miała zlecenia na robienie zastrzyków i pomaganiu w gospodarstwie tamtejszym rolnikom. Siostra zaczęła pracować w Nurze przy budowie, bo rozpoczęto budowę mostu, który był zniszczony na Bugu. To miejscowość nad Bugiem. A ja ciągle myślałem: „Przecież muszę uzupełnić wykształcenie swoje”. Skończyłem gimnazjum, trzeba było do liceum. Byłem już i tak opóźniony przez te różne perypetie jeden rok. Więc najpierw przez te wakacje, ale wtedy były już organizowane takie zespoły mechanizacji, powiedzmy, tam rolnictwa i kupowano... Polska kupowała sprzęt z NRD do młotów, takie silniki, które miały markę... Dutch się nazywały. Ale nie było mechaników. Trzeba było tych mechaników szkolić. Ci wiejscy mechanicy trudno sobie z tym radzili, tym bardziej, że to był taki sprzęt, który trzeba było mocować, ten silnik, jakimiś kołkami na tych tego, bo tłok miał ustawiony... bar-

dzo silne te silniki bocznofoczone tak że on zmieniał swoje położenie, te pasy spadały z tych maszyn i to była tylko mitręga. Bo najpierw przyczepiła się do mnie, że ja nielegalnie pracuję, no nielegalnie. No, paliwo to umawiałem się z kierowcami PKS, że mi te kanistry dowoziły, a ja miałem silnik specjalnie za okupacji zrobiony przez jakiegoś mistrza na lubelszczyźnie. Od Niemców kupowano jakieś stare silniki, które wyszły z użycia i czterotłokowe silniki przecinał ten mistrz na pół i robił dwa silniki do młotów. Robił to na podwoziu na czterech kołach, że można to było łatwo przeciągać. Te tłoki chodziły w układzie pionowym i ten silnik, jak się podstawiło dwie cegły pod te koła, to on się nie przesuwiał. Jak się podstawiło, to ten silnik pracował, trzeba było tylko zmieniać wodę w chłodnicy, taka była bańka. I tak się pracowało. To w końcu przyszedł do mnie ten kierownik tego urzędowego przedsiębiorstwa i mówi, bo tam to wszystko stało, nie pracowało, a ja miałem mnóstwo roboty. „Ty pracujesz u mnie, dostajesz paliwo ode mnie, będziemy się rozliczać i pracuj sobie”. No, ale tylko w wakacje mogłem pracować. Ale i tak sporo zarobiłem. Trzeba było się uczyć. Pojechałem do Warszawy szukać szkoły. Polecano mi szkołę, ja chciałem koniecznie być inżynierem, żeby tę wieś ucywilizować. Wiedziałem, co to znaczy, jak przyjechałem do miasta, że tu są żarówki, tu jest prąd elektryczny, a my tam żeśmy żyli... przy świeczkach odrabiali lekcje jeszcze przecież i po wojnie. I ta elektryczność mnie bardzo pasjonowała. Tym bardziej, że w czasie okupacji to miałem taką funkcję pewną. Były przecież oddziały, miały aparaty nasłuchowe, ale te aparaty były lampowe i zasilanie było tylko bateryjne, prawda. Więc i to trzeba było skonstruować z poszczególnych ogniwi dostępnych w sklepach do latarek elektrycznych, bateria o napięciu sto dwadzieścia woltów, bo te lampy takie miały napięcie anodowe. I tak samo trzeba było mieć akumulator na żarzenie znowuż, których żarzenie było dwa i pół wolta do czterech woltów. I moją funkcją było, kiedy się szykowano do właśnie, kiedy ten nasłuch, jak przychodził oddział z tym aparatem, a taki aparat był tak samo u nas, ponieważ ojciec miał funkcję takiego gospodarczego kwatermistrza. Gdzie przecież organizowało się broń, no w tym wszystkim braliśmy... cała rodzina brała udział w konserwacji. Tak samo ja miałem funkcję, żeby kupić w różnych sklepach takie baterijki do latarek. Można było to za okupacji dostać, cztery i pół wolta. I trzeba było takich sześćdziesiąt tych baterijek kupić, połączyć je szeregowo, żeby uzyskać napięcie anodowe. I to była moja robota. Z przewodu z jakiejś starej anteny, bo przecież odbiorników radiowych nie można było mieć i anteny nie można było mieć za okupacji, więc z tych przewodów robiłem te, powiedzmy, połączenia. Zostałem tego i to była moja funkcja. Później te układowanie tych latarek na rzuty. To była moja funkcja. No więc moje wykształcenie. Ale w czasie gimnazjum, jeszcze w Sterdyni, mieliśmy wspaniałych nauczycieli, którzy byli właśnie nauczycielami ze wschodu lub z Warszawy po Powstaniu już, którzy pozostali tam w łączności z tą wsią. I mieliśmy wspaniałą polonistkę, która po prostu zorganizowała, mieliśmy swój teatr. I ja szukając tej szkoły, właściwie chwyciłem bakcyła tego teatru. Tak samo w domu było mnóstwo książek. Lektury chowało się to, że później była to lektura, która zapalała tymi patriotyzmem i tą sztuką. Zamiłowanie do tej sztuki. I szukając szkoły, trafiłem na państwowe liceum techniczno-teatralne. Wszedłem tam i zostałem do tej szkoły przyjęty. Chodziło o to organizatorom tej szkoły, byli to ludzie też teatru, po wojnie jak wiadomo, to środowisko aktorskie było, tak samo ucierpiało, prawda. Chodziło o wykształcenie ludzi, którzy by przygotowywali widowisko na przykład teatralne, bo dotychczas byli to ludzie, którzy właściwie to były talenty pewne, którzy się tego uczyli bez jakiegoś podkładu teoretycznego. Byli to wspaniali rzemieślnicy. Opowiedzieć? Ale tu potrzebni byli ludzie, którzy by przygotowali, żeby wiedzieli, o co tutaj chodzi. Żeby znali historię teatru, żeby znali epoki, z jakiej, powiedzmy, jest dana sztuka czy jakie jest dane widowisko. Żeby rekwizytor, który miał organizować te rekwizyty, żeby wiedział, jakie wtedy te meble, jak wyglądały, no a, powiedzmy, oświetleniowiec to przecież wiadomo, że technika szła do przodu, żeby przecież musiał znać jakieś nowości w źródłach światła. Przede wszystkim musiał znać

podstawy elektryczności i BHP było inne. I przecież jak ja praktykowałem w Teatrze Polskim i rozmawiałem z tymi elektrykami, którzy oświetlali przed wojną reflektorami łukowymi, mieli powypalane palce, bo musiał to światło dotrzymać do końca. Elektrody się kończyły, wszystko zgasło. I był zamysł taki, żeby w Państwowej Wyższej Szkole Teatralnej był utworzony taki wydział inżynierski. No bo to już pewna wiedza zahaczała o... tym bardziej, że rozpoczęła się odbudowa teatrów, filmu, zaplecza tego całego. Potrzebni byli ludzie z jednej strony związani ze sztuką jakoś, żeby rozumieli tę sztukę, a z drugiej strony, żeby mieli tę wiedzę techniczną, co tu można ulepszyć, usprawnić i dobrze to po prostu zrobić. I to był dobry pomysł, bo co się później sprawdziło, kiedy zacząłem pracować już jako projektant obiektów kultury między innymi, przede wszystkim właściwie. To zobaczyłem, jak to jest potrzebne, bo projektowali ludzie z konieczności inżynierowie, którzy na przykład projektowali i budowali Tamę Asuańską. Ale nie mieli pojęcia o obsłudze na przykład takiego obiektu, tych ludzi, którzy mieli przygotowywać na przykład tę oprawę i to w różnych technikach, jak wiemy. Więc to był dobry pomysł no, ale on później, powiedzmy, nie wypalił, bo ci ludzie też poumierali i to wszystko umarło, i no później brałem udział w takich, dlaczego się spalił teatr w Częstochowie. No więc rozmawiam z elektrykiem, spalił się od instalacji elektrycznych, pytam się: „Człowieku, dlaczego?“, a on mówi: „Bo reżyser kazał jeszcze więcej i jeszcze więcej, i ja ładowałem, ładowałem, flekowałem bezpieczniki” mówi no i instalacja się zapaliła, i tego. No i ten człowiek, który miał dziewięcioro dzieci, powiedzmy, spowodował spalenie się obiektu. „Ale jak ja mogłem zaprotestować, przecież by mnie wyrzucił”. Więc chodziło o to, by od strony technicznej postawić ludzi, którzy powiedzieliby: „Nie, tego się nie da zrobić, więcej nie można”. Bo most się załamał. Nie to, że reżyser chce. Jeżeli chce, no to trzeba przystosować, możliwości stworzyć, prawda? No i to byłem świadkiem tej potrzeby, jak brałem udział w budowie Opery Warszawskiej i kiedy została zrobiona dekoracja na premierę, gdzie dekoracja to był Wawel, gdzie scena ma zapadnie po siedemdziesiąt ton ważące. Gdzie dekoracja miała dziesięć, dwanaście metrów wysokości, a jest to, wiadomo, pudło Wawelu. I kiedy on wyjeżdża z podziemi i kiedy to pudło wyjeżdża w górę, powietrze, które tam jest wpychane, rozwaliło tę dekorację. Zaczepiła się o portal i było co? I co się okazało? Że to już nie wystarczył stolarz pan Heniu, któremu scenograf pokazał, jak to ma wyglądać i on dobierał konstrukcję, a no taka listwa, taka łąta, taka. Przepraszam, że to nie na temat, ale to opowiadam o swoim życiu. Ale co się dalej, powiedzmy, stało? Pozostał w zasadzie jeden z tych uratowanych w Lublinie ten właśnie Janek Szmulewicz, który jak go ta narzeczona wyciągała, żeby on wyjechał na zachód, to on powiedział tak: „Ja z Polski nie wyjadę, bo tu zginęła moja dziewięcioosobowa rodzina. Nie wiem, gdzie są ich prochy. Czy w Treblince, czy na Majdanku, czy w Bełżcu, nie wiem. Bo gdzie ten transport wyjechał, to ja nie wiem. Ale tu jest druga rodzina, która mi życie uratowała i ja nie wyjadę”. Założył zakład krawiecki, bo ponieważ był czeladnikiem już krawieckim, jeszcze w czasie okupacji. Zawarł związek małżeński, przywiózł sobie też Żydówkę, ale z Białorusi. Dużo od siebie młodszą, z której miał córkę, z tego małżeństwa miał córkę i dwie wnuczki. Ta żona umarła mu wcześniej i przez cały czas byliśmy w relacji. Ale nikt wtedy nie myślał o jakichś zasługach, o medalach. To było, powiedzmy, dla nas katolików, bo byliśmy rodziną katolicką, to było po prostu miłosierdzie. Co trudno dzisiaj niektórym ludziom wytłumaczyć. Ale co to jest miłosierdzie dla niektórych? Co to jest miłosierdzie? I to jest najtrudniejsze pytanie. Bo akurat trafiłem do pięciu osób Sprawiedliwy wśród Narodów Świata, które z inicjatywy w zasadzie prezydenta Lecha Kaczyńskiego, naszego ówczesnego prezydenta i rządu, i środowisk właściwie żydowskich naszych. Wyjechaliliśmy do Stanów Zjednoczonych na obchody właściwie Holokaustu, które tam są w Stanach Zjednoczonych państwowym świętem w Waszyngtonie, żeby nas przedstawić tam. Jechaliśmy ze strachem, bo stamtąd najczęściej dochodzą te oskarżenia Polaków o ten antysemityzm jakiś niesamowity, prawda? Że taki antysemityzm, że braliśmy udział w mordowaniu

Żydów. No to jechaliśmy ze strachem. I tam rozmawialiśmy, byliśmy przedstawiani na uniwersytetach, między innymi na uniwersytecie Columbia, na przykład. Podchodzi student i pyta się, mówi: „Jeżeli to groziło śmiercią, to po coście to tak robili?”. Dla niego to było irracjonalne, czysty... jak to, jak mnie za to grozi, to tego. I wtedy to jemu nic to nie mówiło, powiedzmy, miłosierdzie, nie był wierzący, powiedzmy. Jemu to nic nie mówiło, pokazywanie się na serce też nie. No bo dla niego serce to jest pompka do pompowania krwi, no serce. To myśmy musieli w końcu tak: „Słuchaj, masz kolegę, przyjaciela. Chodzisz z nim na golfa. Przyjaźnisz się. I nagle ktoś jego dyskryminuje. Ty to widzisz i się pytasz, dlaczego? A bo on jest Żydem. Ty uważasz go, co z tego, że on jest Żydem, to jest normalny człowiek przecież. To czy ty byś jego nie bronił?”. „No tak, no pewno, że bym go bronił”. „Widzisz, to myśmy tak robili”. Albo drugi student, wiedza o nas, o okupacji naszej, tam jest... no nie jest powszechna. Natomiast mamy profesorów tam, którzy im tak wykładają, że Polska to jest kraj antysemityczny, że podczas Holokaustu braliśmy udział i mordowaliśmy Żydów, prawda, bo Polacy. I oni to mają, taką mają naukę często. Albo drugi student pyta się: „No dobrze, no was było przecież przed wojną trzydzieści kilka milionów”. „No było, no tak”. „Trzydzieści dwa co najmniej miliony was było ludzi. I wyście tych trzech milionów Żydów nie mogli obronić? To co wy za naród jesteście?”. On nie wie, że myśmy przegrali militarnie wojnę, że tak samo byliśmy, on tego nie zna. I taka jest świadomość. Ale wracając do ten... Janek Szmulewicz, tamci wyjechali na zachód, dowiedzieliśmy też, że Moniek Gelb, z tych sześciu osób po wyzwoleniu właśnie tak zwanym przyjechał do nas przedstawić się, w mundurze milicjanta z naszymi plutonowego, z bronią normalną. No wdzięczny był tego no, ale musiał pojechać. I później się dowiadujemy, że on wyemigrował na zachód, do strefy amerykańskiej. No więc mówimy, to on się nie odzywa, bo nie wiadomo. Jeżeli on jako funkcjonariusz pojechał albo w jakiejś wywiadowczej sprawie czy coś takiego. No to nie może się do nas w ogóle odzywać tu. Albo zdezerterował. Jak zdezerterował, no to też nie może się odzywać, prawda? To znaczy, że jest szpiegiem z drugiej strony. A później żeśmy się dowiedzieli, że te siostry Wolfram tak samo, bo one jednak z Jankiem się tam jakoś kontaktowały. No, ale tam założyły rodziny, a wreszcie poumierły i został tylko on. O tych dwóch następnych osobach to też zupełnie, podobno też wyjechały do Niemiec, ale nie wiadomo, nie odezwały się. I nagle 24 marca tego roku spotykam się z synem Mońka Gelba, który, okazało się, dostał się do Stanów Zjednoczonych i tam osiadł i założył rodzinę. I nie wiem skąd, bo błędzą nasze nazwiska tam gdzieś w internecie jako Sprawiedliwych. I poprzez Kraków tam jakoś łączność tego... poprzez Kraków zapragnął poznać rodzinę moją, tę rodzinę, która kogoś z tej rodziny, która uratowała jego ojca. No i połączyliśmy się później telefonicznie i chciał zobaczyć te miejsca, w których ten ich ojciec przeżył, w których był przechowywany i tak jak ja nie lubię tego, że przechowywany. Można pomóc człowiekowi, ale tak go schować, to nie to samo co rzeczy zakopać do ziemi i ona sobie spokojnie leży, a tu człowiek musi żyć, każdą sekundę, każdą minutę, każdą godzinę i tak dalej. No i doprowadziliśmy do tego spotkania. Tam mój kolega go zaprowadził w te miejsca z lubelszczyzny, który też para się historią, jest inżynierem, ale para się historią tej ziemi lubelskiej. I on ich tam zaprowadził, zrobili tam zdjęcie, przyjechali do Warszawy umówiliśmy się i spotkaliśmy się w POLIN-ie. Siedmioosobowa rodzina, to znaczy Mońka, i słyszę takie słowa od nich: „Dzięki, dzięki wam, dzięki tobie to zobacz, to my żyjemy”. Jest to wzruszające. No, a jeśli chodzi o te... moja rodzina ma dwa medale. Tak zwany medal na raty, bo było to tak, że właściwie te medale nastąpiły w drodze jakiegoś takiego protestu. Moi rodzice już nie żyli w latach osiemdziesiątych, bo mama moja zmarła w osiemdziesiątym pierwszym roku, akurat były te rozruchy Solidarność, stan wojenny w osiemdziesiątym pierwszym roku. A ojciec, wiadomo, zaginął od tego czterdziestego siódmego roku. Bo w czterdziestym siódmym roku właśnie zginął podczas tego aresztowania, w trybie tego śledztwa i aresztowania. I w osiemdziesiątym, w latach osiemdziesiątych znów napływały takie bolesne te oskarżenia

z ośrodka Wiesenthala, który tego tropiciela, tych zbrodniarzy hitlerowskich z Wiednia, z tego ośrodka. I takie dotyczące Polaków, tych szmalcowników i mnie to zabolalo mocno. I takie napisałem oświadczenie do ŻIH-u, bo Janek Szmulewicz mi ciągle mówi: „Ty słuchaj, ty idź, bo wam się należą medale i ty idź, i ty idź i tego”. Ale on nie był taki piśmienny jakiś, żeby on był wspaniałym tym krawcem rzeczywiście, który potrafił ręcznie uszyć cały garnitur lub przekręcić na drugą stronę tak zwane nicowanie, co robił, w tych olszynach siedząc, nawet sobie szył tam. Ale tak żeby coś tego załatwić i ja napisałem takie wtedy oświadczenie, że podnoszę głos protestu w zasadzie. I dałem to swoje oświadczenie do ŻIH-u. I w ŻIH-u zajął się tym bardzo poważnie Michał Grynberg, doktor Michał Grynberg. Wtedy żył jeszcze przecież ten Janek, przyprowadziłem go i on to stwierdził wszystko, potwierdził jako świadek. I on wystosował wniosek do Yad Vashem o przyznanie medalu, tego honorowego odznaczenia Barbarze i Stanisławowi Stankiewicz i ich dzieciom. Ale on to pisał na takiej maszynie jeszcze wtedy, nie na komputerze i napisał to na pół stronnicy i tutaj, gdzie było ich dzieci, on postawił dwukropek, a na drugiej stronie było napisane nazwisko mojej siostry i moje. I w osiemdziesiątym szóstym roku nagle zostaję zaproszony do Sejmu i odbieram wręczenie medalu dla moich rodziców. No więc przy okazji jakiejś to już było dla mnie bardzo dużo, że ci rodzice nie żyją i ten honorowy, no jest ten ślad, prawda, co robili. I to odznaczenie otrzymuję. Przy okazji poszedłem do doktora Grynberga i mówię: „No, ale to niezgodnie z wnioskiem jest”. A on mówi: „To pomyłka, to się naprawi”. A on wkrótce umarł i trzeba było całą procedurę od początku. Znow ten Janek Szmulewicz musiał zeznawać no i w 2006 roku otrzymałem ja i moja siostra już pośmiertnie, bo już i siostra moja nie żyje. Jestem ostatni z tej rodziny, czyli pięcioosobowa rodzina, sumując to wszystko, podjęła się uratowania sześćdziesięciu osób gdzieś tak, uratowania już w ostatecznym rozrachunku, a udało się jedną dziesiątą. Pięcioosobowa rodzina uratowała sześć osób. Chociaż tyle. Ale i to się udało. Ja otrzymałem i moja siostra już pośmiertnie też, ten medal. A teraz wracając jeszcze do mojego ojca, bo dalsza historia. Dyskryminowani czekamy te dziesięć lat prawie. Nastąpił październik. Mnie ciągle nurtuje, co się dzieje. Niemożliwe, żeby ojciec do tej pory nie dał znać. No więc kiedy nastąpiła ta odwilż, zaczynam ruszać znów tę sprawę. Do Prokuratury Generalnej, Prokuratura Generalna scedowała to do prokuratury rejonowej, czyli wojskowej prokuratury rejonowej. I nagle z sądu wojewódzkiego dostaję wezwanie, z Sądu Wojewódzkiego dla miasta stołecznego Warszawy, wezwanie do sądu o odszkodowanie. O odszkodowanie za tego, za krzywdy moralne. I toczy się proces, to ja już wtedy adwokata biorę, bo widzę, że tego, że sobie sam nie poradzę. No i z adwokatem, adwokat wystosował wniosek o dwieście tysięcy odszkodowania za krzywdę moralną, ponieważ ciągle nie można obalić tego, w jaki sposób zginął, no sam popełnił samobójstwo, nie było procesu, popełnił samobójstwo. Ale po tych dziesięciu latach, już pięćdziesiąty szósty, pięćdziesiąty siódmy, następuje taka sprawa. Moi koledzy ze Sterdyni Podlaskiej, z gimnazjum, w roku pięćdziesiątym zostają aresztowani, bo założyli na wzór filomatów i filaretów wileńskich organizację taką wewnętrzną. Oczywiście nielegalną, bo nie mogła być jakaś organizacja nielegalna, bo wtedy bardziej. No i w tej organizacji chcieli coś zrobić. A co mieli zrobić? Ponieważ to było środowisko wiejskie i wtedy taki straszny był nacisk na tę kolektywizację, czyli ich rodziny, ich rodzice byli przecież ciągle nawiedzani i inwigilowani przez różnych takich, którzy tę kolektywizację próbowali zakładać na wsi. Więc oni postanowili zrobić. Jak przyjechał taki prelegent tej kolektywizacji do miasteczka, do tej miejscowości Sterdyni, no to gdzieś tam musiał przenocować, no to patrzyli, gdzie on tam nocuje, to mu walili w okiennice i on rano się pakował, i następnym autobusem wyjeżdżał powrotnym, po prostu ich straszili. Ale to nie było tylko tak. Okazuje się przecież, że tam pełne lasy, te sterdyńskie, były Żołnierzy Wyklętych. 5, 6. Brygada Szendzielarza, ale pod dowództwo wtedy jeszcze „Huzara”, kapitana „Huzara”, z którym ojciec oczywiście mój nawiązał kontakt. Tak samo i ci chłopcy też przecież mieli tam kontakt. I sta-

ła się rzecz taka, że na jednej z zabaw, jeden z tych i to byli jeszcze do tego moi harcerze, bo ja tam założyłem drużynę harcerską, byłem współzałożycielem w tym gimnazjum, tylko ja już skończyłem i wyszedłem, a oni jeszcze tam pozostali, z młodszych klas. Też tam mieli kontakty z tymi oddziałami i, krótko mówiąc, z WIN-em, bo ich rodzice też niektórzy należeli przecież do WIN-u. A nastąpił taki incydent, że jeden z tych kolegów bawił się na zabawie i mieli wspólną partnerkę z tym ubowcem, jednym z ubowców. I jemu coś strzeliło do głowy, zwał się z nimi i próbował go rozbroić, zabrać mu broń. Ale tamten okazał się silniejszy, związał tego kolegę, a reszta, jak się dowiedziała o tym, to postanowiła uciekać za Bug. Bo tam za Bugiem chcieli się połączyć z oddziałem „Huzara” czy coś. Po prostu zauważyli, że to będzie wsypa. No, ale wtedy Bug był obstawiony KBW i ich na tych łódeczkach wychwyтали, i dostali wyroki po osiem lat za udział w organizacji. I siedzą w więzieniach, a ja czekam w Warszawie. Jak się o tym dowiedziałem, że sięgną teraz po mnie, bo już jestem tak przecież tego. Mieszkam w bursie, Towarzystwa Burs i Stypendiów z Andrzejem Pileckim, zresztą synem tego, bo on też przez Ostrów Mazowiecką, a to tam i na razie na przykład się nie znamy. Nazwisko samo nic nie mówi. Ale wychodziliśmy z tej bursy na Dworzec Główny, bo na Dworcu Głównym można było spotkać... stary Dworzec Główny przy Towarowej tutaj i plac Zawiszy to było parę kroków. Chodziliśmy tam, bo tam można było spotkać bardzo dużo ludzi znajomych, bo ludzie migrowali. Na ziemię zachodnie jeździli, można było spotkać znajomych. Mało tego, bufetowa nawet była tam znajomą naszą ze Sterdyni. Więc... a ponadto to jeszcze była taka zabawa, bo to czterdziesty dziewiąty rok, była wymiana pieniędzy. I do nas do bursy przychodzili różni ludzie z walizkami pieniędzy, bo tam była ograniczona możliwość wymiany tych pieniędzy, prawda? Żebyśmy te pieniądze brali na siebie i wymieniali. I myśmy wymieniali te pieniądze i mieliśmy z tego, oni nam tam płacili za to. A poza tym ludzie jak dostali ten nowy pieniądz, to przyszedł bilon. I ten bilon, przy kasach na przykład, to gubili te dziesiątki, dwudziestki leciały. I myśmy się śmiali tylko, że jak wychodzimy tak po nauce wieczornej, przed zamknięciem drzwi w naszej bursie, a to była bursa bardzo ciekawa, bo ona była, że jak ktoś się w akademiku nie zmieścił, to do tej bursy tam na jakiś czas tego. Więc myśmy tam różnych ludzi. No i myśmy się śmiali, że jak żeśmy tam poszli na ten Dworzec, to trzeba było patrzeć na podłozę, przy kasach i nazbierać, czy się uzbiera na piwo, czy nie. A tam można się było napić piwa, bo piwo nie było tak dostępne w tym czasie. A poza tym spotkać znajomych. I jak ja wychodziłem z Andrzejem czasem i tak żeśmy tam stali, a oczywiście tam było bardzo dużo milicji wtedy, kręciło się różnych tam tajniaków, a tego. I Andrzej mi mówił: „Słuchaj, zejdźmy stąd, bo jesteśmy obserwowani”. No i my się wtedy zwijali i wracaliśmy do siebie. A on już wiedział więcej, ale w tym samym czasie, bo to czterdziesty dziewiąty rok, on jeszcze też nie wiedział, że jego ojciec wtedy był mordowany. I ja też nie wiedziałem, czy jeszcze żyje, czy nie. Ale wracając z kolei do tych kolegów. Między tymi kolegami siedzi już w tej chwili świętej pamięci, ale jeszcze... dwa lata temu on zmarł, przyszły profesor SGGW Franciszek Kobryńczuk. I w latach właśnie... po dziesięciu latach gdzieś, pięciu latach wyszedł z tego więzienia, odsiedział ten swój wyrok i odszukał mnie. Ja już byłem wtedy usamodzielniony, nawet założyłem rodzinę. Moja rodzina jeszcze mieszkała tam na wsi, trudności mieszkaniowe. Nie dostałem się na Politechnikę, bo kiedy była rekrutacja, a chciałem koniecznie na Politechnikę się dostać, to była ta rekrutacja, odbywała się na przy ulicy Bema 70. To była Dzielnicowa Rada Narodowa i tam w tej rekrutacji był tak zwany czynnik społeczny. Wtedy dopiero zobaczyłem, co to ten czynnik społeczny jest. Ja złożyłem wszystkie te papierki potrzebne. Mało tego, należałem do ZMP, bo w naszym liceum tym teatralnym, które kończyłem, to dyrektor nas zebrał kiedyś i powiedział: „Słuchajcie, u nas musi być organizacja ZMP”. A my byliśmy... w tym liceum pełno takich włóczęgów jak ja, z całej Polski. Przynajmniej między innymi przecież tam się pojawił Marek Hłasko. To był mój kolega stamtąd. Pilecki, ale on nie był w naszej szkole, Pilecki był w innym liceum. I powiedział: „To musi

być ZMP, bo inaczej to przegrywamy w rankingu szkół, w ogóle, przegrywamy, no musi być". No i było. Braliśmy udział... nawet był taki Zjazd Światowy Intelktualistów w Domu Słowa Polskiego, który był wtedy zbudowany. Ale kiedy doszło do mojej osoby, to: „Tam się pojedziecie do Gdańska”. No Gdańsk był, miał bardzo dobrą politechnikę, bardzo dobra politechnika. Ale ja tam nikogo nie znałem. A tu przecież ja miałem jeszcze rodzinę, której pomagałem, bo na wakacje jechałem tam jeszcze, na te omłoty, prawda. Mało tego, ta szkoła mi dawała to, że po pierwszym roku ja mogłem pracować, a ona była trzyletnia. To państwowe liceum techniczno-teatralne, dla właściwie realizatorów widowisk teatralnych, filmowych. To ja... mogliśmy pracować w teatrze, dorywczo zatrudniano nas już do obsługi, powiedzmy, jakichś urzędzeń czy oświetleniowych, czy jakiś innych. Mieliśmy jednocześnie praktykę i zarabialiśmy na statystowaniu. I to były bardzo dobre zarobki. Bo my mogliśmy wtedy zarabiać tyle, co zarabiał na przykład kierownik budowy. Płatne i wtedy mogliśmy nawet jakoś rodzinę wspomóc, jeżeli tego. I to się jakoś, można było koniec z końcem związać. Ale i dlatego ja mówię: „Nie, słuchajcie, ja chcę Politechnikę Warszawską”, bo tutaj to tego. No i wtedy podniósł się taki młody człowiek z tego i powiedział tak: „A kto wam powiedział, że my wrogów ludu będziemy kształcić w ogóle?”. I ja wtedy zrozumiałem, o co tutaj chodzi, że ja jestem tutaj spalony. No i wtedy po skończeniu musiałem pracować. I teraz wracając jeszcze do sprawy mojego ojca, spotyka się ze mną ten... właściwie najpierw mi napisał list, bo zdobył tam przez kogoś znowuż mój adres w Warszawie. I w tym liście pisze tak: „Słuchaj, wy nic nie wiecie, ale ja mam pewne wiadomości o waszym ojcu”. O Stankiewiczu Stanisławie, że moim ojcu. I pisze mi w tym liście, ale już raczej przystąpię do rzeczy, do spuentowania tego, że: „Przebywając w więzieniu na izbie chorych i w celi, miałem starszego od siebie więźnia, który okazał się funkcjonariuszem, że był oficerem gospodarczym w Sierakowskiego 7, w tej placówce Wojewódzkiego Urzędu Bezpieczeństwa tu, w Warszawie. I on mnie się zapytał: »Skąd ty jesteś?«. A ja mu mówię: »Jestem ze Sterdyni«. »Jak ty jesteś ze Sterdyni, to czy znasz nazwisko Stankiewicz?«. A ja mówię: »No, znam. Stankiewicz to był mój kolega w gimnazjum, a jego ojciec był leśniczym«. »No to właśnie zgadza się. Słuchaj. Ty jesteś młody i ty przetrzymasz tę karę, a ja jestem chory – okazuje się, że oni swojego jakoś wsadzili do więzienia, nie wiadomo za co, to nie wiadomo – Ale ty jesteś młody, to ty przeżyjesz. Odszukaj tę rodzinę, bo oni nie wiedzą, co się stało z ich ojcem. Odszukaj i powiedz im to, co ja ci powiem. Jak przywieźli leśniczego, to my poddaliśmy go śledztwu. To śledztwo odbywało się w piwnicach na dole – mówi – I chodzili po nim, deptali. Złamali mu żebro, wbili w wątrobę. Jak umierał, to go wynieśli na trzecie piętro i z okna wyrzucili, i o tym was zawiadomili, i to było tego«. I on dostał jako oficer gospodarczy, jeszcze wtedy pełniąc to stanowisko, odbyła się tak zwana sekcja, ale to nie była sekcja, tylko oględziny, bo sekcja to jeszcze na czym innym polega, jak się później, ale to było napisane, że sekcja. I napisali raport, że uciekał i popełnił samobójstwo, skacząc z trzeciego piętra, znaczy, że uciekał i popełnił samobójstwo, i koniec. I wy o tym nie wiecie. To ja mówię, że przyjedź do mnie, spotkamy się, porozmawiamy”. I jak on już przyjechał następnym razem, ten mój kolega, to on mówi: „Słuchaj! Chodź, pojedziemy, bo ten mój współwięzień, który mi tę informację przekazał, ten współwięzień, też wyszedł z więzienia ze względu na zły stan zdrowia, bo zapadł na chorobę płuc. Więc go nie chcieli już trzymać, tylko tego. I mam jego adres”. I myśmy pojechali do niego. Ja widzę rzeczywiście człowieka podniszczonego, to jest właśnie tego. I on mi to samo wszystko opowiedział. I mówi: „Jak dostałem rozkaz po tych oględzinach – to mi opowiadał, że mówi – jak on był zrzucony z tego piętra, to miał rozbity głowę, czaszkę, że mózg był w promieniu no tam jakimś, rozbity. No połamany był zupełnie. I on mówi: „Te części pozbierałem, bo dostałem rozkaz pochowania – no mówi – To zawiąłem to w jakieś prześcieradło i trzymałem to w garażu tydzień czy ileś. Później w jakąś pakę – mówi – po jakimś tam czymś, jakimś z dostawy załadowałem to i zawiozłem – ten kolega mi napisał, że na Bródno, a on mi

powiedział – nie, na cmentarz komunalny Powązki”. Bo to ja pamiętam jeszcze, wtedy to ja mówię: „Czy może mi pan tam pojechać i pokazać, gdzie to było?”. On mówi: „Mogę pokazać”. No i pojechaliśmy na te Powązki, ale to już było dziesięć lat, inaczej zupełnie to wyglądało. I jeszcze cmentarze były oddzielone. Bo część, gdzie teraz jest już cały wojskowy, to kiedyś ta część była komunalnym na Powązkach, a wojskowy był, idąc od bramy, prawa strona to był wojskowy. Jeszcze siatka była taka, już tam miejscami poprzerywana była siatka. I on mówi: „To było tu. To było gdzieś tu. Bo były to – mówi – śmietnik cmentarny, takie gałęzie jakieś, gdzie tam jakie korzenie. gdzie się wykopywało tam, to tam były składowane. Myśmy to odsuwali i takie rabaty – mówi – kopało się po pięćdziesięciu, na pięćdziesiąt osób i tam taki właśnie żeśmy tam chowali. I ja tutaj pochowałem”. Więc ja mówię, a on mówi: „Ja dokładnie to w tej chwili nie powiem, gdzie, ale tu on jest pochowany”. To ja, jak mam taką wiedzę, to mówię: „Czy ty możesz człowieku, czy pan może mi to powiedzieć w sądzie? Bo ja w tej chwili wytaczam proces – bo to już było po pięćdziesiątym szóstym roku – przeciwko tym śledczym – a on mi prawie ukląkł i mówi – wie pan, ja chcę żyć. Oni mnie wsadzili do więzienia. Jak ja to zeznam w sądzie, to ja wiem, jak to się robi, to ja nie wyżyję”. Ja mówię: „No, ale, a ja? Chcę mieć grób tego ojca, chcę znać prawdę”. Ja mówię: „Ja pana podam, ale nie będę miał żalu, co pan tam powie, bo nie mogę mieć. Dużo mnie, człowieku, zrobiłeś, że ja już jakąś wiedzę posiadam, że nie łudzę się, że tam, a tam, tylko tu”. No i podałem ich na świadków, ale zauważyłem, że oni obydwaj i ten mój kolega, też wspaniały człowiek zresztą, ale dostali stracha pewnego, że tu jest teraz... rzeczywiście, że oni są zagrożeni. I to przesłuchanie, podałem przeciwko tym śledczym sprawę do wyjaśnienia. Zajmował się prokurator, prokuratury warszawskiej, nazwiskiem Kaleta, kobieta. No i jak ja jej przedstawiłem tę sprawę, to ona mnie wzywała kilkakrotnie. Zaczęła mi tłumaczyć, mówi: „Proszę pana, to byli funkcjonariusze, to był wypadek przy pracy, wypadek był to, popełnił samobójstwo”. Ja mówię: „No dobrze. No, ale niech to się odbędzie procesem”. Okazuje się, że nie ma ich już w tym, a ten mi mówi: „Oni są dalej, pracują dalej, żyją”, mówi ten oficer. „To jak pan ich znajdzie, to wtedy, a tak to sprawa jest nieaktualna, nie do ugryzienia”. Nie podjęli jako prokuratura, no ukrywali, po prostu ukrywali. No i tam gdzieś mi kazali pisać. I ja błędziłem za jednym, bo nazwiska poznałem przy tym procesie o odszkodowanie, bo to odszkodowanie żeśmy wcześniej dostali na rodzinę, z tym że doszło do pięćdziesięciu tysięcy tylko tego odszkodowania, a byliśmy już rzeczywiście wykończeni jako rodzina, no byliśmy w strasznym debecie. I w końcu adwokat powiedział tak, bo już zaczęło się troszeczkę zmieniać. To co mówiło później przysłowie, że jak Gomułkę wzięto w kółko i jest tak jak przed Gomułką. I to się właściwie sprawdzało. I już te sądy obcinały te odszkodowania, bo tego. No i to odszkodowanie żeśmy przyjęli, niewiele z tego odszkodowania właściwie zostało po opłaceniu tam tych wszystkich, adwokata i tego. Ale ja podnoszę tę drugą sprawę. Matce ciągle odmawiano zaopatrzenia emerytalnego. Szukam tych śledczych, a przy tej sprawie o odszkodowanie dopuszczono mnie do akt. Akta były na Skierniewickiej. To co ja mówię w tej chwili profesorowi Szwagrzykowi: „Czy macie te akta operacyjne różne? Bo ja do tych akt byłem podczas procesu o odszkodowanie dopuszczony, gdzie czytałem protokoły z zeznań”. Były chyba dwa protokoły zeznań ojca, kiedy poznał „Huzara”, prawda, i tego. Więc tam się tłumaczył, mówi: „No jak do leśniczówki to przyszedł. A czegoście nie meldowali?”. „A no nie meldowałem, bo posterunek policji był cztery kilometry, a ja mieszkałem w lesie w drewnianym domu. Przecież by mnie spalili”. Co mógł, to się tam tłumaczył. I dlatego stosowali jeszcze te metody, że w końcu się to śledztwo skończyło. Zacząłem pisać do takich biur tej ewidencji, które były tam na nazwisko, bo poznałem Szczerbakowski, Pachla, Rykowski, to byli ci śledczy, którzy byli... Szczerbakowski miał nadzór, okrutnik podobno straszny i ten. Odpowiadano mi, że nieznany, nieznany, byli po prostu ukryci. Nie wiem, co powiedzieli ci, co powiedział ten oficer śledczy, ale on się już też po prostu bał. I ja go po prostu zwolniłem z jakiegось tego, bo tak

samo bałem się też, że ten mój kolega, no jak będzie świadczył, co się, że ten... przeciwko temu. No i w końcu będą mieli kłopoty dalsze. No i od tamtej pory zaczęły się przychodzenie na tę „łączkę” i tam więcej ludzi zaczęło przychodzić na tę „łączkę”. W osiemdziesiątym drugim roku wreszcie, korzystając tam z pewnych znajomości mojej żony jakoś, która pracowała w urzędzie miasta, wymogłem to, że pozwolono mi tam postawić symboliczny grób, a tak to co się tam zrobiło, stawiałem tam brzożowe krzyże, na trylinkach się stawiało, tam świece na Wszystkich Świętych, tam na tego. I przed cmentarz przecież, tę „łączkę” zaczął zajmować cmentarz dla wojskowych w PRL-u. Wtedy powstała fundacja, zorganizowaliśmy fundację tam, żeby zatrzymać te pochówki tam, żeby zatrzymać tę „łączkę”. No i tak powstała właściwie „łączka”. Potem powstał pomnik taki wspólny, to wiemy, jaka jest historia. No i ja ciągle czekam. Okazuje się, że jak dotychczas nie zidentyfikowano mojego ojca, bo oddałem DNA. I razem właściwie z Andrzejem Pileckim się denerwujemy, bośmy stracili to, co mieliśmy. Bo na pomniku była inskrypcja, był, ja miałem ten legalnie, bo zapłaciłem za to miejsce, ten grób też, który został, to wiadomo, jak on był. Nie wszyscy mieli, tam było kilka takich grobów, żeśmy uzyskali to pozwolenie legalne na symboliczny grób. Zgodziłem się na udostępnienie tego miejsca, bo mogłem się też jeszcze upierać i nie zgodzić, ale jakżeż nie mogłem. No przecież musi być ta cała sprawa. Ale teraz zaczynam się już naprawdę niecierpliwic i bać, czy w ogóle, bo może się temu coś pomyliło, może coś... może ze strachu powiedział, że tu, a może nie tu. A okazuje się, że skoro na przykład, zwłoki mojego ojca były bardzo zmasakrowane, przede wszystkim była ta czaszka rozbita, może się znalazł tam pod płótem prawda, gdzie tam pracowały jakieś koparki i tam wydobyto cały szereg części, które trudno nawet poskładać, zdają sobie sprawę, prawda. A jeszcze nie wszyscy oddali przecież DNA rodzinny, bo przecież ja też jestem ostatni z tej rodziny. Oddałem to DNA i nie wiem, jaka jest... No ciągle mnie uspokaja profesor Szwagrzyk, że: „Niech pan nie traci nadziei”, no, ale zdają sobie sprawę, że te prace są tak teraz w szerokim zakresie ten IPN, a przecież wiem, jak wyglądało ze środkami, jak w poprzednich latach te środki dla IPN były ograniczane, obcinane. A pracy jest bardzo dużo. I tak naprawdę niepokoję się, nie wiem, czy... będę pisał do IPN, żeby przynajmniej zabezpieczyć jakieś wspomnienie, bo historia jest taka.